

CLUB KAPRYS

OPARTA NA FAKTACH POWIEŚĆ OBYCZAJOWA Z CZASÓW PRL



18+

GEORG KYNAST

CP
OSTRE PIÓRO

GEORG KYNAST

CLUB KAPRYS

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA Z CZASÓW PRL

Szczecin 2026

Copyright © Georg Kynast

Copyright © Ostre Pióro

Wydanie I

Szczecin 2026

ISBN (druk): 978-83-68498-63-9

ISBN (e-book): 978-83-68498-64-6

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydawca zezwala na udostępnianie okładki książki w internecie.

Ilustracja na okładce

Magnific.com

Mapa (strona 8):

OpenStreetMap | openstreetmap.org/copyright

Projekt okładki

Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl

Redakcja

Katarzyna Kurowska | stacjaprojekt.my.canva.site

Korekta

Dagmara Jaszczak-Bartosik

Magdalena Dziekan | www.magdadziekan.com

Projekt typograficzny, skład i łamanie

Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl



Wydawnictwo

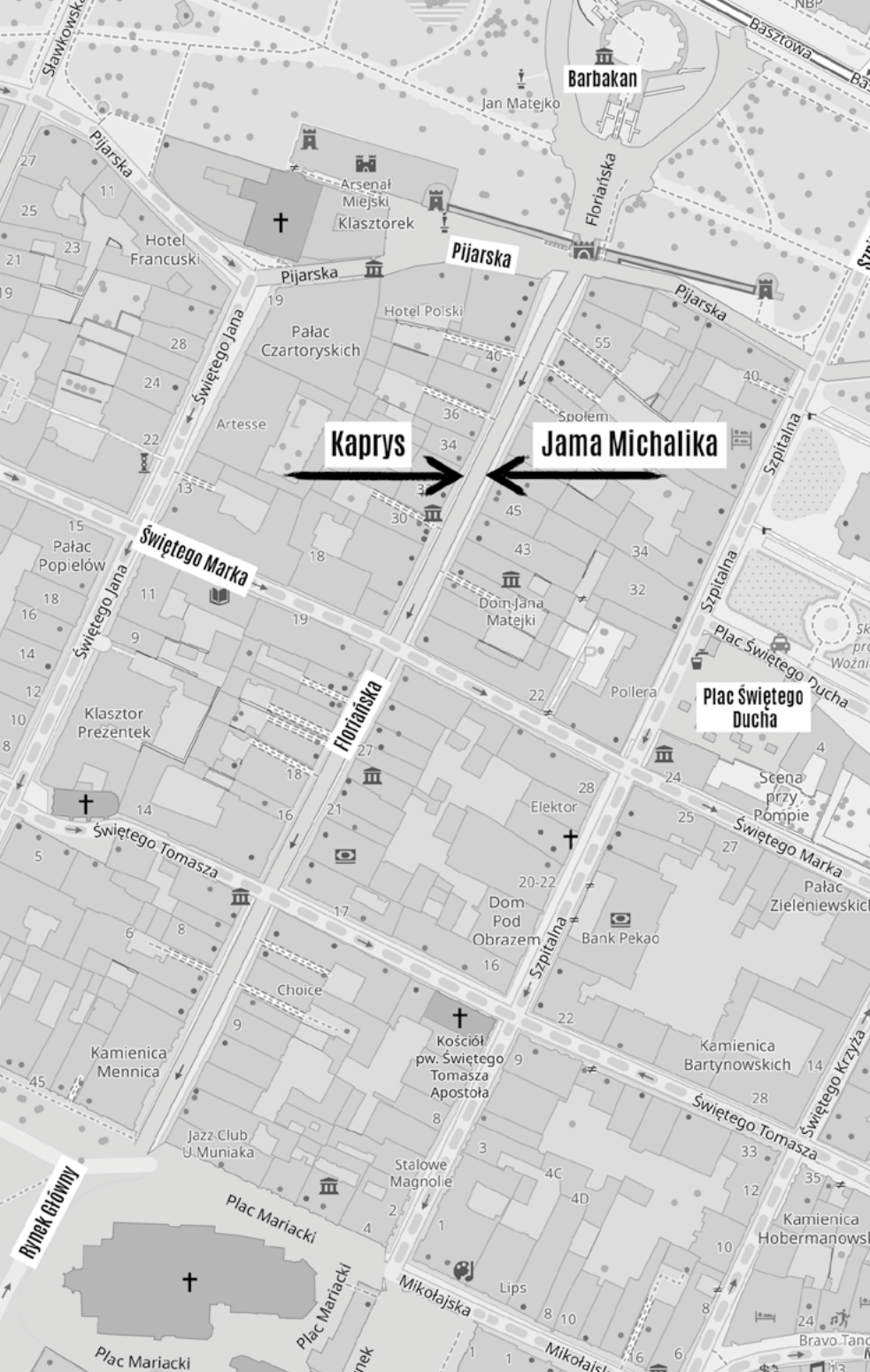
Ostre Pióro

www.ostre-pioro.pl

*Dla wszystkich,
którzy wspominają dawne, „dobre” czasy,
i dla tych, którzy je poznać pragną*

POWIEŚĆ OPARTA NA FAKTACH

Imiona i nazwiska dobrane przypadkowo –
nie mają odpowiedników w rzeczywistości.



Kaprys

Jama Michalika

WPROWADZENIE

Zaczynamy w listopadzie 1977 roku.

Kraków. Środek miasta, ulica Floriańska 32. Tu, kilka kroków od Rynku Głównego, w zabytkowej kamienicy działa Dancing Bar Kaprys – nocny lokal z tradycjami pamiętający jeszcze przedwojenne czasy, gdy nazywał się Casanova.

Wchodząc do środka, zostawia się za sobą szarość PRL-u i wkracza się w świat, w którym gra muzyka, jest kolorowo, ludzie piją, jedzą i tańczą. To również miejsce spotkań, aranżacji interesów – czasem jaśniejszych, czasem mroczniejszych. Tu się handluje, tu się dogaduje, tu się też zakochuje i zdradza.

W Polsce panuje komuna. Twarda, niepodzielna, pod czujnym okiem I Sekretarza, obywatela Gierka, wspierana przez przyjaciół ze Wschodu.

– Pomożecie? – pytał kiedyś robotników i kumpli z PZPR towarzysz Edward.

Pomagali, pomagali, aż się...

No właśnie. Aż się okazało, że na nic to wszystko, bo półki sklepowe i tak puste.

Rok wcześniej rząd – oficjalnie w trosce o zdrowie obywateli – wprowadził reglamentację cukru. W rzeczywistości chodziło raczej o ograniczenie nielegalnej produkcji bimbrow.

Praktycznie tu, w środku Europy, bez problemu dostępne są tylko ocet i wódka. Całą resztę trzeba zdobywać.

Ale władza potrafi też ogłaszać sukcesy. Oto właśnie zaprezentowano nowy, wspaniały samochód rodzimej

produkcji – Poloneza. Z wyglądu przypomina nieco pojazd pancerny, ale mimo to staje się marzeniem wielu Polaków.

Tylko ta cena...

Aby kupić takie cacko, należałoby przez ponad siedem lat odkładać całą pensję do skarbonki. Tyle że po tym czasie, uwzględniając inflację, zgromadzone oszczędności wystarczyłyby w najlepszym wypadku na kupno roweru. O ile jakimś cudem byłby w sprzedaży.

Jeżeli już mowa o zarobkach, to w przeliczeniu na amerykańską walutę przeciętna pensja wynosi około trzydzieści dolarów na miesiąc.

Mimo wszystko, a może właśnie dlatego, ludzie chętnie idą się bawić. Skoro za pieniądze niewiele można kupić, pozostaje wydać je z przyjemnością w inny sposób.

Przykładowo w Kaprysie.

Spójrzmy więc, co tam się dzieje...

CZĘŚĆ PIERWSZA

1977

PIĘĆDZIESIĄT DOLARÓW CO MIESIĄC

ABBA: *Money, Money, Money*

The Eagles: *Hotel California*

Arkadiusz Obrocki był didżejem. Z niemalym trudem, ale za to z wyróżnieniem zdobył licencję zawodowego prezentera dyskoteki. Miał do tego wyjątkowy talent; potrafił rozbawić nawet najbardziej ociążałą publiczność. Uwielbiał patrzeć, jak się rozkręcają, śmieją, w tańcu wpadają w ekstazę. To był jego świat – świat bawiących się ludzi przy muzyce, którą z genialną intuicją miksował im z płyt.

Takich okazji nie miał jednak wiele. Czasami impreza w klubie studenckim, studniówka, bal maturalny albo nawet wesele. I tyle, nic na stałe.

Na co dzień pracował w administracji Huty Lenina, co czyniło go nieszczęśliwym. Etat w biurze kombinatu i kariera księgowego to nie to, czego oczekiwał od życia. Każdego ranka, siadając za biurkiem, czuł, jak coś w nim umiera. Nie od razu, nie gwałtownie – powoli, niemal niezauważalnie, jak roślina pozbawiona światła. Tabelki, rachunki, kalkulacje – słowa, które odbierały mu całą radość życia. I tak ma być dalej? Dzień po dniu aż do emerytury? Marzył, żeby wreszcie coś się stało. Coś, co wyrwie go stąd.

Czwartek dwudziestego czwartego listopada nie zapowiadał się zbyt dobrze; padał deszcz, było zimno i na dodatek uciekł mu tramwaj. Z Osiedla Kolorowego, gdzie mieszkał, do biura dotarł po trzydziestu minutach, przemoczony i zziębnięty.

Kiwnął głową na powitanie Marioli i niechętnie spojrzał na biurko ze stosem papierów. Kolejny nudny dzień jak wczoraj, przedwczoraj i zawsze.

– Chcesz herbatę? – spytała.

– Tak, dzięki.

– Coś taki zły, stało się coś?

– Nie, wszystko OK.

„Właśnie o to chodzi, że nic się nie dzieje” – pomyślał. Od kilku tygodni nie dostał żadnego zlecenia do grania, kompletny zastój. Popatrzył na telefon. Nikt nie dzwonił. Wszyscy o nim zapomnieli? A może po prostu nie jest wystarczająco dobry, a te kilka imprez wynikało tylko z przypadku? Jak tak dalej pójdzie, nie będzie go stać na nowe single. A to już byłoby najgorsze – brak aktualnych hitów oznacza wypadnięcie z branży. I wtedy to koniec. Drzwi się zamkną na zawsze. Na giełdzie płyt w klubie Pod Przewiązką co niedzielę kupował jakieś nowości, a teraz dupa, cholera jasna.

Westchnął ciężko, przysunął kalkulator i zabrał się za liczenie i wypełnianie tabel. Po godzinie spojrzał przez okno; ciągle padało, krople spływały po szybie. „Jak łyzy” – pomyślał bezwiednie. Beznadzieja.

Koło południa wreszcie zadzwonił telefon. Poderwał się.

– Obrocki.

– Cześć, Arek, mówi Szymek.

– A... serwus – odparł po chwili.

– Mam nadzieję, że mnie pamiętasz. Robiliśmy razem bal w Hali Wisły dla AGH.

Teraz sobie przypomniał. To była duża impreza, kupa ludzi, Szymek prowadził konferansjerkę i śpiewał. Obydwaj dobrze zarobili.

– Tak, no pewnie, że pamiętam. Co słyhać, masz coś nowego?

– Wiesz, jest jeden temat, chciałem to z tobą omówić.

– No to słucham. – Arek się zaciekauił, ale starał się brzmieć spokojnie.

– Sprawa jest delikatna, nie przez telefon.

– To co proponujesz?

– Musimy się spotkać. Masz dzisiaj wieczorem czas?

– Znajdę.

Jasne, że ma czas. Od tygodni czeka na takie rozmowy.

– To przyjdź do Jamy Michalika przy Floriańskiej o siedemnastej, dasz radę?

– Powinienem zdążyć.

– Super, to jesteście umówieni. Do piątej.

– Dobra, będę.

Odłożył słuchawkę i wyrzał przez okno; deszcz przestał padać, zaświeciło słońce. Uśmiechnął się do Marioli. Pierwszy raz tego dnia.

Gdy wracał z pracy, ulice wydały mu się jaśniejsze, ludzie mniej ponurzy. A może to tylko w jego głowie? Wszystko jedno, czuł, że coś będzie się działo. Na Kolorowe dotarł dużo szybciej niż rano do huty. Joasi jeszcze nie było, więc odgrzał wczorajszą zupę, zjadł i spojrzał na zegarek. Już czwarta, zaraz musi jechać. Gdzie ona się zawieruszyła?

W tym momencie usłyszał zgrzyt zamka i do mieszkania weszła Joanna. Trochę zdyszana, ale uśmiechnięta.

Pocałował żonę w policzek.

– Cześć, kochanie, gdzie się podziewałaś? – spytał.

– Stałam w kolejce za mięsem.

Postawiła siatki na stole, zdjęła płaszcz i objęła go przytulnie. Wspięła się na palce i cmoknęła w usta. Poczuł jej ciepło, zapach perfum.

– Ty już jadłeś, nie czekałeś?

– Nie gniewaj się, ale bardzo mi się spieszy, mam spotkanie w Krakowie.

– Teraz? O co chodzi?

– Dzwonił Szymek. Chce się spotkać. Pamiętasz, jak robiłem muzykę w Hali Wisły? On był konferansjerem, byli też inni artyści.

– No i co teraz chce?

– Dokładnie nie wiem. Nie chciał mówić przez telefon. Mam nadzieję, że ma coś dla mnie. Bardzo by się przydało. Chyba rozumiesz?

Joanna westchnęła. Nie lubiła tych jego imprez, kiedy zostawała sama.

– Co on właściwie na co dzień robi? Ten twój Szymek?

– Śpiewa w Operetce, a dodatkowo łapie fuchy, gdzie się da.

– A to pracuś... Nie chcę, żebyś ty też był ciągle poza domem. Arek pomyślał, że nie byłoby wcale źle mieć trochę dodatkowych wpływów. Jego męskie ego nakazywało mu zapewnić najbliższemu i sobie też życie na poziomie.

– Co u ciebie, jak ci minął dzień? – spytał.

– Och, jak zwykle. Kalkulacje bez końca. Ceny się ciągle zmieniają, więc trzeba to liczyć.

– Pracuj w Społem, będziesz wołem – zaśmiał się.

– Ach, przestań. Ty też nie masz lepiej w tej swojej hucie.

– Wiem, dlatego chcę to zmienić.

– No to leć i zmieniaj. Nie zapomnij włożyć czapki z tego pośpiechu.

Dał jej buziaka i już zniknął za drzwiami.

O taksówce z Nowej Huty¹ do Krakowa można było tylko pomarzyć, więc pojechał zatłoczonym o tej porze tramwajem. Wyciśnięty jak cytryna wysiadł przy Dworcu Głównym, dalej poszedł pieszo. Zrobiło się ciemno, rzadkie latarnie rzucały blade światło na mokre, nierówne chodniki. Minął Teatr Słowackiego i po chwili znalazł się na Floriańskiej. Był spóźniony dziesięć minut, kiedy stanął przed drzwiami Michalika. Przystanął na chwilę, żeby uspokoić oddech po szybkim marszu. Czuł podekscytowanie. Co też Szymek ma dla niego?

Wszedł do środka. Uderzyło go ciepło, zapach kawy i dymu papierosowego. Wystrój typowej kawiarni wiedeńskiej. Stylizowane meble z zielonymi obiciami, na ścianach obrazy, witraże, lustra, wszystko w subtelnym świetle lamp i kinkietów. Tu czas płynął inaczej, wolniej, jakby się zatrzymał, a problemy pozostały tam za drzwiami.

Rozejrzał się; przy stolikach siedziało parę osób. Po chwili dostrzegł Szymka. Nie był sam, rozmawiał z jakimś młodym gościem, tak na oko dwadzieścia kilka lat.

Oni też go dostrzegli, Szymek pomachał w jego kierunku.

– Przepraszam za spóźnienie, nie było taksówki.

– Nie ma sprawy, poznajcie się, to Maksymilian Bystron.

Podali sobie ręce.

– Cześć. Arkadiusz Obrocki.

– Cześć. Znajomi mówią mi Maks – oznajmił nowo poznany.

– A do mnie Arek.

Obaj się uśmiechnęli.

¹ Wydzielona dzielnica Krakowa z wieloma osiedlami obok kombinatu hutniczego imienia Lenina.

- Siadaj. Co ci zamówić? – spytał Szymek.
- Niech będzie kawa, czarna, jak u was.
- Może ciasteczko? Mają tu super sernik wiedeński.
- Daj spokój, nie przyszedłem się objadać.
- Jasne. Zaraz ci powiem, o co chodzi. Przygotuj się na bombę, a ja tymczasem zadbam o twoją kawkę.

Skinął na kelnerkę, zamówił i spojrzał znów na Arka. Przez chwilę się nie odzywał, upił trochę z filiżanki, wreszcie zaczął:

- Na początek chcę ci wyjaśnić, czemu jest tu z nami Maks. Jest elektronikiem znanym całemu krakowskiemu środowisku muzycznemu z wytwarzania sprzętu nagłaśniającego. Prawie każda kapela w tym mieście ma jego wzmacniacze i kolumny głośnikowe. Chyba wiesz, że takiej aparatury nie da się tak normalnie w sklepie kupić. Można tylko sprowadzić z Zachodu albo właśnie wykonać samemu.

- No pięknie, tylko co to ma ze mną wspólnego?

- Zaraz się dowiesz. Maks też nie jest muzykiem, pracuje w Instytucie Fizyki Jądrowej i wkurza go, że robi sprzęt, a sam z niego nie korzysta. Postanowił to zmienić i właśnie niedawno skończył budowę kompletnej aparatury dyskotekowej.

Arek pytającym wzrokiem obrzucił swoich rozmówców.

- I teraz ja mam ten sprzęt kupić, czy jak?

- Poczekaj, coś taki narwany, zaraz się dowiesz, tylko nie przerywaj.

Kelnerka podała kawę, po czym Szymek się lekko wyprostował.

- Z Maksem już o tym rozmawiałem. Jak się zapewne domyślasz, mam trochę znajomości w Agencji Artystycznej i teraz już wiem, że w Krakowie powstanie nowa dyskoteka. Niedaleko stąd, po drugiej stronie ulicy, w Kaprysie.

Arek poczuł, że tętno mu przyspieszyło. Mnóstwo pytań pchało się na usta.

– No to mów, co wiesz na ten temat. Od kiedy?

– Od pierwszego grudnia, czyli już dużo czasu nie zostało. Agencja Artystyczna dostała zlecenie od WSS Społem², która jest właścicielem Kaprysu, na zorganizowanie dyskoteki na popołudniówkach, czyli na tak zwanych fajfach. Codziennie, cały tydzień na okrągło, od szesnastej do dwudziestej.

Arek się skrzywił.

– I to ma być disco? Dla dzieci czy co?

– Tak to tam biega, dwie imprezy dziennie; popołudniówka i dancing w nocy – powiedział Szymek. – Od lat tak mają.

– Czyli na nocach orkiestra? – spytał Maks.

– Tak. Chyba że kiedyś się to zmieni. – Szymek mrugnął porozumiewawczo.

– No dobra, rozumiem, że jeżeli nas tu ściągnąłeś, są jakieś możliwości, żebyśmy to łyknęli, tak? – zagadnął Arek.

– Mogę wam to załatwić.

– Wiesz coś, ile byśmy zarabiali?

– Tak, już się dowadywałem. Didżej pięćset i akustyk dwieście plus trzysta za sprzęt. Oczywiście od jednej imprezy. To wam wychodzi po piętnaście patyków na miesiąc.

– O kurde, to trzy razy tyle, ile mam na hucie.

„Piętnaście tysięcy miesięcznie” – to zabrzmiało w uszach Arka jak wybawienie.

– Tak, ale robota na okrągło i bez urlopu – wtrącił Maks.

– Wszystko pięknie, gdzie jest hak?

2 Wojewódzka Spółdzielnia Spożywców Społem – w PRL największa sieć handlowa i gastronomiczna.

Szymon spuścił wzrok, wciągnął głęboko powietrze. Rozejrzał się, czy nikt z sąsiednich stolików nie słucha, pochylił się w ich stronę i ściszonego głosem oświadczył:

– Jeden facet z agencji chce za opiekę pięćdziesiąt zielonych na miesiąc.

Cisza. Wreszcie odezwał się Arek:

– Dzisiaj to już druga bomba.

– Dokładnie, czuję się jak w Ameryce w czasach Ala Capone – dodał Maks. – Jak odliczyć podatek i haracz dla tego skurwiela, to prawie połowa naszej forsy pójdzie się jebać.

Szymek spojrzał na nich z niedowierzaniem.

– Panowie, jesteście już dobrze ponad dwadzieścia lat na tym padole, a zachowujecie się jak dzieci. Tak to właśnie dzisiaj biega: chcesz zarobić, podziel się z drugim. Ja te układy dobrze znam, kręcę się w tym biznesie już parę lat. Na pocieszenie wam powiem, że w takiej knajpie jak Kaprys nie żyje się z oficjalnych zarobków.

Popatrzyli pytająco.

– Tylko z czego?

– Muzycy mają gówniane pensje i dorabiają na boku na de-
dykacjach. Tak samo kelnerzy. Myślicie, że siedzą tam na gołej
wyplacie ze Społem?

Arek przypomniał sobie, jak kiedyś w klubie studenckim jakiś chłopak dał mu pięćdziesiąt złotych, żeby puścił dla dziewczyny *Sambę Pa Ti Santany*. Tylko raz mu się coś takiego trafiło. Nie mógł sobie wyobrazić, by to miało być stałe źródło dochodów.

– Możesz coś powiedzieć o tym „opiekunie”? – spytał Maks.

– To Robert Gerhard, nazywają go Roger. Dla wszystkich artystów chyba najważniejsza osoba w agencji. Przydziela nam

występy; od niego zależy, gdzie i kiedy mamy robotę albo jej nie mamy.

– Nieźle się ustawił – zachnął się Arek.

– Jest jeszcze coś, o czym muszę powiedzieć. – Szymek ściszył głos. – Roger jest cwany i chce, żeby ta forsa szła przede mną. On nawet nie będzie z wami o tym gadał. Absolutna dyskrecja, jasne? Chyba nie muszę dodawać, że nikt nie może o tym wiedzieć, nawet własna żona.

– Dobra, wiadomo – bąknął Maks.

Arek przytaknął, ale bez przekonania. Będzie musiał kłamać. Joasia nie może wiedzieć.

– No to jak, jesteście zainteresowani?

Popatrzyli po sobie.

– Myślę, że możemy spróbować.

– Tak, dużego ryzyka nie ma – dodał Maks.

– No to proponuję, żebyśmy się stąd zwinęli i przeszli od razu do Kaprysu. Tam teraz jest fajf, to zobaczycie, jak to wygląda i czy wam odpowiada.

– Teraz rozumiem, czemu wybrałeś Michalika – uśmiechnął się Arek.

Zapłacili i wyszli na Floriańską.



W drzwiach powitał ich portier ze spiczastym nosem, w czerwonym uniformie i czapką ze złotym napisem KAPRYS. Przyglądał się im przenikliwie i nie robił wrażenia, że ma zamiar ich wpuścić. Szymon był na to przygotowany, szybko wcisnął mu dwadzieścia złotych do łapy. Sytuacja zmieniła się radykalnie; od razu się odsunął, robiąc miejsce.

– Proszę do kasy – powiedział uprzejmie.

Kupili trzy bilety i kierownik sali poprowadził ich do środka.

Przez jasny hol z szatnią przeszli obok kolorowo oświetlonego baru w kierunku obrotowej przegrody, pełniącej funkcję drzwi do głównej części lokalu.

Weszli do środka jak do jaskini. Ciemnawo, tylko kilkanaście przyćmionych kinkietów i niemrawe światła na gzymsach pod czarno-czerwonym sufitem. Po obu stronach lekko podwyższone łóża, każda ze stolikiem dla kilku osób. Pomiędzy nimi kilkanaście stołów różnej wielkości, a dalej parkiet do tańczenia i za nim podwyższenie dla orkiestry, odgródzone balustradą. Obok szerokie schody na pięterko, gdzie również ustawiono kilka stolików.

Jednak pierwsze, co rzuciło się w oczy, to olbrzymie oko nad estradą, wykute w ścianie, przez które z górnej kondygnacji widać całą salę.

Usiedli w jednej z łóż i rozejrzeli się dookoła. Nie wszystkie stoliki były zajęte, może połowa. Nad wejściem antresola z widokiem na salę świeciła pustkami. Orkiestra miała przerwę, ludzie rozmawiali, niektórzy coś jedli, wielu paliło.

– Ile osób tu się zmieści? – spytał Arek.

Odczuwał mieszkankę podniecenia i praktycznej oceny możliwości zrobienia z tej smętnej knajpy prawdziwej dyskoteki.

– Na dole jest sto dziesięć miejsc siedzących, na piętrze i antresoli około stu – odparł Szymek. – Jeszcze kilka przy barze; w sumie dobrze ponad dwieście.

Przyszła kelnerka, zamówili po piwie. Czekali.

W końcu z pierwszej łóży wstali czterej podtatusiali faceci, weszli na estradę i jeden trochę bełkotliwie zaprosił do tańca.

Wyłączyli światła na gzymsach, a parkiet oświetliły czerwone i niebieskie reflektory. Jak w cyrku.

Zaczęli grać. I śpiewać. Oczywiście po angielsku... Nie był to popis artystyczny, raczej przypominał wiejskie wesele; perkusja jednostajnie i głośno, organy jęklawie, a bas dudnił niewyraźnie. Wokalista się męczył, ale żaden Anglik by go nie zrozumiał. Mechaniczne odtwarzanie zachodnich przebojów, które brzmiało jak parodia.

Kilka osób wyskoczyło na parkiet, podrygując w tanecznych podskokach. Trochę pijani, trochę rozbawieni. Wartość muzyczna nie miała znaczenia; może być ramba-camba, byle uciec od szarości codziennego dnia w PRL-u. Trwało to około dwudziestu minut, po czym ten, który śpiewał, zapowiedział:

– Dziękujemy państwu za wspianą zabawę i już zapraszamy do koncertu z dedykacją.

Przez chwilę nic się nie działo, ale po chwili do orkiestry podszedł jakiś facet, coś im zapłacił, trochę pogadali i rozległo się:

– Dla kochanej Helenki od Maćka: *Mama Leone*.

Orkiestra zaczęła grać piosenkę Bino, ludzie znów wyszli na parkiet. Na tym nie koniec, zaraz znaleźli się następni zamawiający, tak jakby to było zupełnie naturalne i oczywiste.

– Po ile oni tam biorą? – spytał Arek.

– Zamów mi dedykację, to się dowiesz – zaśmiał się Szymek.

– Po stówie, widziałem – rzucił Maks.

Trwało tak dobre pół godziny. Szymek miał rację, oni żyją z dedykacji.

– Teraz już wiecie, jak to wygląda. Podoba się?

– Dla mnie katastrofa, ale widzę potencjał. Warunki są dobre, ludzi trochę mało, ale odpowiednią muzyką i wystrojem da się z tego zrobić niezłą dyskownię – odparł Arek.

– Głośniki można będzie zamocować na gzymsach, wyglądają dosyć solidnie, a światła na kolumnach – dodał Maks.

– No to w takim razie zgłaszam Rogerowi, że w to wchodzić. Jeszcze jedno: zanim zaczniecie, dyrekcja Kaprysu chce zrobić przesłuchanie, taką próbę generalną. Muszą wiedzieć, czy im to leży i w ogóle jaką muzykę gracie, jak to brzmi i jak wy się prezentujecie. Pamiętajcie: to jest knajpa nastawiona na konsumpcję. Gracie do tatara i schabowego. I nie non stop trzepanie łupieżu, trochę spokojnych kawałków i szlagierów, jak na weselu. OK?

– Dobra, wszystko jasne – zapewnił Arek.

– To spadamy, bo oni tu zaczynają sprzątać przed dancin-
giem. Dam wam znać, kiedy będzie to przesłuchanie. Pewnie
wkrótce, bo pierwszy grudnia za tydzień.

Był już późny wieczór, gdy Arek, wyraźnie podekscytowany,
wpadł do mieszkania. Poderwał Joannę z fotela i zakręcił z nią
młynka.

– Będziemy bogaci la-la-la, kupimy samochód la-la-la,
zmienimy mieszkanie la-la-la – zaśpiewał jak w dziecięcej
wyliczance.

Popatrzyła na niego rozbawiona, ale też z niepokojem.

– Piłeś coś?

– Tak, jedno piwko.

– O, to musiało być jakieś bardzo mocne piwo.

– Nie bajdurz. Już ci wszystko mówię. Siadaj.

Zrobił krótką pauzę, jakby zbierał myśli, po czym opowie-
dział, co było w Krakowie. O sprawie pomocy finansowej za
opiekę, zgodnie z zaleceniem, nie wspomniał.

– No i co ty na to? – spytał.

Joanna nie wyglądała na zachwyconą. Stała przy stole z rękami założonymi na piersiach.

– Średnio. To byłbyś cały dzień poza domem. W dzień huta, wieczorem Kaprys. W ogóle nie będziemy się widzieć.

– Ale za to w nocy będziemy się czuć – odparł i objął ją przymilnie.

– A poza tym w takiej knajpie zbiera się najgorszy element: kurwa, milicjant i złodziej. Wiem coś o tym, słyszę, co u nas w biurze mówią.

– No i co nas to obchodzi? Ważne, że płacą.

– I wóda leje się strumieniami – dodała.

– Kochanie, ja przecież nie będę w pracy pić.

– Tam wszyscy chleją, chociaż są w robocie.

– Obiecuję, że nie będę. Najważniejsze, żeby się odbić finansowo. Teraz nie stać nas na nic ekstra. A tak w ogóle to jeszcze nic pewnego.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Czuł jak jej sztywność ustępuje. Po dwóch latach małżeństwa ciągle byli w sobie zakochani. Bała się, że ten Kaprys może coś zepsuć między nimi. Że zburzy ich szczęście.

– Chodźmy do sypialni. Już późno – powiedział czule i zaczął ściągać jej bluzkę.

Nie stawiała oporu. Rozpięła mu koszulę i zajęła się paskiem od spodni.

Kochali się jeszcze długo metodą Arka „zasypianie z powtórka”. Po wzajemnym obcałowaniu wszystkich części ciała ze szczególnym uwzględnieniem sutków i obszarów intymnych obracali się na bok, na łyczeczkę. Joanna z przodu, on od tyłu w pełnym wzwodzie wchodził w jej wilgotną, ciepłą i oczekującą szparkę. Rękami pieścił delikatnie jej piersi. Wspólne ruchy niezbyt gwałtowne i szybkie w tej pozycji pasowały do

zbliżającego się spania. Po chwili obopólny orgazm, można zasypiać. Tyle że wcale się nie rozdzielali jak większość par po latach. Penis pozostawał tak w niej podczas pierwszej fazy snu, która przeważnie trwała jeszcze dwie godziny. Wtedy jakby się budził; rósł wewnątrz i przypominał o sobie. W półśnie zaczynali wspólny miłosny taniec od nowa. Ruchy minimalne, delikatne, uduchowione. Jak marzenie senne. Za to orgazm jak eksplozja – pełna rozkosz i spełnienie. Teraz można już się rozdzielić i spać do rana.

1977

WY TU SOBIE JAJA ROBICIE?

Baccara: *Yes Sir, I Can Boogie*

Bonnie Tyler: *It's a Heartache*

Szymek zadzwonił już na drugi dzień.

– Przesłuchanie jest we wtorek w południe. Dasz radę?
Arek dostał wypieków. Musi wziąć urlop, nie ma problemu.

– Tak.

– Z Maksem już rozmawiałem, będzie ze sprzętem o die-
siątej. Zamówi ciężarówkę, bo tego jest dużo. Przyjdź też tak
wcześnie, to mu pomożesz rozłożyć te graty i podłączyć.

– Zrobi się.

– A teraz najważniejsze: na przesłuchaniu oprócz dyrekcji
Kaprysu będzie Roger ze strony Agencji Artystycznej. Musicie
udawać, że się znacie, on was zarekomendował od najlepszej
strony. Nie jesteście na ty, ale dobrze się znacie. Jasne?

– Tak, tylko jeszcze musimy wiedzieć, który to jest – odparł
Arek niepewnie.

– Taki przystojny brunet pod czterdziestkę. Zresztą ja też
przyjdę, to wam go pokażę. Pamiętaj o absolutnej dyskrecji,
żebyście się gdzieś nie wygadali w wiadomej sprawie.

– Oczywiście, to byłby koniec dla nas też.

Arek poczuł się, jakby wstępował do mafii. Łapówki, układy,
konspiracja. Wszystko to bardzo mu się nie podobało. Ale co
może zrobić? Ma trwać przez całe życie za biurkiem? „Nie” –
pomyślał. Nie cofnie się. Już w tym tkwi.

– Zagraj tak, żeby się tym dziadom z dyrekcji spodobało. Oprócz aktualnych hitów, trochę starszych kawałków, jakiegoś przytulańca, może tango, sam zresztą wiesz. Musisz ich przekonać.

– Postaram się, będzie dobrze.

– Nie wątpię. No to do wtorku. Cześć.

– Cześć.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę się zastanawiał, co Szymek będzie z tego miał. Tak się przecież stara...

W zamyśleniu sięgnął po formularz urlopowy.



Noc przed przesłuchaniem nie należała do łatwych. Najpierw Arek długo nie mógł zasnąć, a kiedy wreszcie mu się udało, męczyły go złe sny. Surowe twarze dyrektorów na przesłuchaniu. Roger z wypchanym dolarami portfelem. Dziewczyny z wyzywającym makijażem rzucały mu się na szyję, potem zginęły wszystkie płyty, wreszcie milicja założyła mu kajdanki, a kiedy krzyczał, że jest niewinny, oberwał pałką i wtedy się obudził. To Joanna się nad nim zlitowała, widząc, jak się rzuca i lekkim szturchańcem wybawiła z koszmarów. Był zlany potem.

Zadzwonił budzik. Aha, już szósta.

Począł się ubierać. Przysznic dobrze mu zrobił, orzeźwiony szybko się ubrał, nastawił ekspres do kawy i czekał na Joannę. Wkrótce była gotowa, usiedli do śniadania i spojrzeli na siebie. Ona wiedziała, że to ważny dzień.

– Zdenerwowany?

– Nie bardzo... trochę – przyznał.

– Masz program przygotowany? I płyty? – upewniała się.

Rzucił okiem na walizeczkę przy drzwiach.

– Tak, wszystko gotowe, wczoraj zrobiłem.

– Tylko ich nie zapomnij.

– Nie, co jak co, ale o płytach zawsze pamiętam.

– Wiem – mruknęła z przekąsem. – Muszę lecieć. Powodzenia!

– Pa, trzymaj kciuki. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Znikła za drzwiami. Został sam. Z walizką płyt i głową pełną myśli. Za kilka godzin będzie wiedzieć, czy ma szansę na zmianę swojego życia.

Do Kaprysu dotarł przed dziesiątą, więc postanowił poczekać na Maksa przed wejściem. Ulicą Floriańską, zamkniętą dla ruchu, szli bezładnie nieliczni o tej porze przechodnie. Po chwili powolutku od strony Rynku nadjechała ciężarówka i zatrzymała się obok Arka. Z szoferki wysiadł Maks i jeszcze jakiś gość.

Przywitali się.

– No to do roboty!

Otworzyli pakę i Arek zobaczył cały sprzęt. Cztery duże i dwie małe kolumny głośnikowe, konsola z mikserem i dwoma gramofonami, sterownik do świateł, wzmacniacze, magnetofon, dwie rampy z kolorowymi reflektorami i dwie walizki kabli.

– Oj nieźle, jest tego trochę – powiedział.

– Jak ma być profesjonalnie... – odparł Maks z nutką nieśkromnej dumy. – Dobra, wnosimy.

Głośniki ustawili prowizorycznie na parkiecie, światła na gzymsach, a konsolę na estradzie. Podłączyli kable i sprawdzili, czy wszystko gra. Zajął im to ponad godzinę.

Akustyka była zdumiewająco dobra, jakość dźwięku ich pozytywnie zaskoczyła. Muzyka wypełniła salę naturalnie i czysto. Arek pomyślał, że brzmi to zdecydowanie lepiej niż kilka dni wcześniej, kiedy produkowała się orkiestra.

Popatrzyli na salę; o dziwo trochę ludzi się zebrało, wszyscy zerkali w ich stronę. Widocznie wiadomość o przesłuchaniu rozeszła się po Krakowie. Przy jednym stoliku Arek zauważył kolegów po fachu z kawiarni „Barbórka” działającej przy Miasteczku Studenckim, gdzie też niedawno otworzono dyskotekę. Trochę się znali, pomachali do siebie.

– Cześć, chłopaki. – Pojawił się Szymek. – Wszystko dobrze? Gotowi?

– Tak, brzmi całkiem nieźle – odparł Maks.

– Co z tym Rogerem, jest już? – spytał Arek.

– Tak, poszedł do biura, na górę, przyjdzie razem z szefostwem. Poznacie go po tym, że nie ma krawata.

– A inni mają?

– Dyrektor tak.

– Kto jeszcze będzie?

– Tylko jego zastępczyni. Aha, już idą.

Dwóch mężczyzn i kobieta usiedli w trzeciej łóży i popatrzyli w kierunku sceny. Chwilę rozmawiali, kelnerka podała kawę. Od stolika wstał ten pod krawatem i podszedł do estrady.

– Dzień dobry. Nazywam się Tomczyk, jestem tu dyrektorem. Słyszałem o was dużo dobrego, więc pokażcie, co umiecie. Bardzo jestem ciekaw.

Wrócił do łóży. Arek znał uczucie, które go w tej chwili opłaniało. Przerabiał już to na swoim egzaminie na licencję dіджея w Warszawie. To nie był strach; raczej podniecenie i chęć

wykazania własnych możliwości. Nagle znikła niepewność, bo wie na co go stać i zaraz to udowodni.

Maks przygasił oświetlenie na gzymsach i włączył kolorowe reflektory skierowane na parkiet.

Muzyka zaczęła grać wstępną składankę, światła ożyły. Arek wziął mikrofon i zapowiedział:

– Witam państwa serdecznie na naszej prezentacji. Nazywam się Arkadiusz Obrocki, a to mój kolega Maksymilian Bystroń. Na początek proponujemy trochę aktualnych przebojów.

ABBA zaintonowała *Dancing Queen*, potem Smokie zaśpiewali *I'll Meet You at Midnight*, po czym Boney M. dali czadu z *Ma Baker*.

Arek obserwował kątem oka gości w trzeciej łoży i widział, że im się podoba. Pan Tomczyk lekko się uśmiechał, a wicedyrektorka kiwała głową do taktu.

– A teraz zmiana nastroju, słuchamy Presleya.

Love Me Tender nucił głębokim głosem Elvis.

– To może coś z aktualnej listy przebojów, grają i śpiewają The Eagles *Hotel California*.

– Wracamy do Europy i ruszamy do tańca: *Paryski Walczyk*.

Rozbawiona para dyrektorska kołysała się do taktu, Roger był wyraźnie zadowolony.

Arek chciał właśnie puścić coś innego, ale pan dyrektor podniósł rękę i dał znać, że to wystarczy i mają do nich podejść.

– W porządku, panowie, ja to kupuję – zaczął. – To moja prawa ręka, pani Ludmiła Kowalczyk, a pana Roberta chyba nie muszę wam przedstawiać.

– Nie, znamy się dobrze – łgał bez zmrużenia oka Roger.

– Siadajcie. – Pan Tomczyk trochę się przesunął, robiąc im miejsce w łoży. – Zaczynacie pojutrze, pierwszego grudnia.

Gracie bloki po około dwadzieścia minut, tak jak to było teraz, potem piętnaście minut przerwy. Ja wiem, że na Zachodzie dyskoteka gra non stop, ale my żyjemy z konsumpcji i goście muszą mieć czas, żeby zamówić, a potem zjeść i wypić.

Kiwnęli głowami ze zrozumieniem.

– Głośniki nie mogą stać na parkiecie, zabrałyby za dużo miejsca. Gdzie je dacie?

– Planujemy na górze, na gzymsach, razem ze światłami – powiedział Maks.

– Tak, to dobry pomysł. Trochę czasu wam z tym zejdzie, musicie w czwartek wcześniej tu przyjść. Teraz zanieście te swoje sprzęty na górę do szatni, bo jeszcze dziś i jutro gra zespół.

– Jak się z tym uporacie, przyjdźcie do mnie do agencji, podpiszemy zlecenia – rzucił Roger.

– Ja już się cieszę, że dwóch takich przystojniaków gra u nas na fajfach – zaśmiała się pani Ludmiła.

– Pewnie dziewczuchy będą rwały majty, he, he – skwitował pan Tomczyk. – No, dość tych żartów, wracamy do pracy. Pannie Robercie, proszę z nami do biura, spiszemy umowę. Do czwartku – dodał w kierunku chłopaków.

Poszli. Decydenci. Zostawili tylko werdykt. Pozytywny, i to tylko się liczy.

– Udało się. Gramy – rzucił z uśmiechem Arek i podał rękę Maksowi.

– Tak, mamy to – odwzajemnił uścisk.

Jak spod ziemi pojawił się Szymek.

– Chyba wszystko dobrze, co? Byli zadowoleni?

– Na to wygląda. Mamy podpisać przyjęcie zlecenia – odparł Arek.

– Mówilem wam, że to załatwię. – Szymek ściszył głos. – Mam dobrą wiadomość; tę forszę za opiekę dajecie dopiero na końcu miesiąca.

– Pewnie, że nie teraz – burknął Maks. – Jeszcze żeśmy grosza nie zarobili, a poza tym musimy załatwić ten papier³. To muszą być dolce?

– Tak chce, w dzisiejszych czasach to nie dziwi. Ja już lecę, będziemy w kontakcie. Cześć.

– Cześć.

Zajęli się rozmontowywaniem kabli.

Po chwili od stolika z tyłu sali, przy którym siedziało kilka osób, podniósł się jakiś gość i podszedł do estrady. Nie wyglądał na zadowolonego. Wręcz przeciwnie: na wkurwionego.

– Bystron – zawołał.

Maks odwrócił się i spojrzał na przybysza.

– Serwus – odpowiedział.

– Co ty tu, kurde, robisz?

– Zakładamy disco, chyba widać, co nie?

– Czy ciebie całkiem pojechało? Tutaj dyskoteka? W Kaprysie? Tu zawsze grała kapela. Od wieków. To nie jest miejsce dla młodzieży i gołych studenciaków. Najpierw robiłeś dla muzyków sprzęt, a teraz chcesz nam zabierać robotę. Lepiej się dobrze zastanów. Długo tu nie zagrzejecie miejsca, już my się o to postaramy, a jak dostaniecie kopa w dupę, to nikt nie kupi od ciebie aparatury. Nigdy.

Odwrócił się i poszedł do swoich. Zaraz też wstali i wyszli z Kaprysu.

– Co to za przyjemniaczek? – spytał Arek.

3 W PRL potoczna nazwa dolarów USA.

– Taki jeden szarpidrut⁴. Gra z klezmerami dancingi w Cracovii. Podobno jest jakimś szefem w ich związku muzyków krakowskich.

– No to super, tego nam było potrzeba. Gadał, jakby nam groził.

– Nie przejmuj się. Damy radę. Jesteśmy lepsi.

W milczeniu rozmontowali sprzęt do końca i złożyli w szatni.

– Możesz przyjść w czwartek tak jak dzisiaj, o dziesiątej? – spytał Maks. – Będzie trochę pracy, żeby to wszystko solidnie zainstalować.

– Tak, mam urlop.

– Ja też. W takim razie jesteśmy umówieni. Trzymaj się.

– Ciao.

Idąc w kierunku Barbakanu, Arek zastanawiał się, czy ta nowa dyskoteka będzie dla niego dobrym miejscem. Stwierdził, że ma problem, żeby z całą pewnością odpowiedzieć na to pytanie twierdząco.



Zmierzając do Kaprysu pierwszego grudnia rano, mimowolnie obserwował kolejki przed sklepami. Długie, po kilkadziesiąt metrów. W większości kobiety, nawet ciężarne, dużo starców, również dzieci. Przeważnie milczący, niektórzy coś czytali, wszyscy przemarznięci tuptali w miejscu dla rozgrzewki. Zanosilo się na śnieg.

Pierwszy dzień. Dzień, w którym wszystko miało się zacząć. Szedł przez zimowy Kraków z mieszaniną ekscytacji i lęku. Czy

4 Pogardliwe określenie gitarzystów.

wszystko się uda? Co, jeśli ludzie nie zaakceptują dyskoteki? A może ten muzyk miał rację, że Kaprys nie jest dla nich? Na Floriańskiej jakaś ładna blondynka uśmiechnęła się do niego bez powodu. Odwzajemnił jej uśmiech i pomyślał, że to pomyślny znak. Będzie dobrze...

Maks czekał już na niego w środku, przywitali się i zabrali do roboty. Najwięcej trudności sprawiło wciągnięcie ciężkich głośników do góry na gzymsy. Ręce ich bolały, gdy się wreszcie z tym uporali.

Na estradzie stało pianino i perkusja należące do orkiestry dancinowej, więc miejsca nie pozostawało zbyt wiele. Jakoś się pomieścili, ale było jasne, że konsoletę z gramofonami i mikserem będą musieli wynosić po fajfie.

Niespodziewanie długo im zeszło z podłączeniem kabli do głośników i świateł. Zwłaszcza przeciągnięcie ich pod schodami obok estrady stanowiło problem.

Kelnerki, które od południa już się kręciły po sali, spoglądały podejrzliwie na te wszystkie przygotowania.

Wreszcie około piętnastej byli gotowi. Można zaczynać. Puścili przyciszoną, spokojną muzykę i usiedli zmęczeni w pierwszej łóży.

Natychmiast podeszły do nich dwie dziewczyny z obsługi.

– Cześć, jestem Gośka.

– A ja Kaśka.

– Arek.

– Maks.

– My podajemy na fajfach, kelnerzy są na nocach – objaśniła Gośka. – Jest jeszcze Wanda, ale dzisiaj ma wolne. Zawsze jesteście we dwie na jedną zmianę. Coś wam podać?

– Coś byśmy się napili, może po Coli.

– Już się robi.

Poszła na zaplecze i zaraz wróciła, balansując tacką jedną ręką, jak to tylko kelnerzy potrafią. Nalała Coli do szklanek i stanęła obok Kaśki.

– Siadajcie – rzucił Maks.

– Nie, nam nie wolno.

– Ale przecież nie ma jeszcze ludzi.

– Wszystko jedno, na siadanie mamy szlaban.

– Trochę głupio, jak my siedzimy, a wy stoicie – przyznał Arek. – Ale jeżeli tak już ma być, to powiedzcie, czy się cieszycie, że teraz będzie dyskoteka.

– Niby z czego mamy się cieszyć? – obruszyła się Gośka. – Porządny gość z forszą już nie przyjdzie, a na gówniarzach nam nie zależy.

– Tu nie szkolna świetlica ani studencka buda – dorzuciła Kaśka.

– Co wy takie pesymistki jesteście? – spytał Maks. – Waszej dyrekcji się podoba.

– Oni zostali do tej dyskoteki zmuszeni, dyrektywa przyszła z góry, to nie mają wyjścia – odparła Gośka. – I nie żyją z napiwków tak jak my. Jak tu przyszli konie⁵ spod Peweksu i zaczęli rządzić, to portfele miałyśmy grube. Teraz można o tym zapomnieć...

Poszły na zaplecze.

– Takiego nastawienia ze strony obsługi chyba żeśmy nie przewidzieli, co? – zaczął Arek.

– Nie, ale ja je rozumiem. Boją się o forszę, a może nawet o pracę. Wszystko, co nowe, budzi strach i niepewność. Są

5 Popularna nazwa cinkciarzy.

przekonane, że się tu nie sprawdzimy. Słyszałeś, co mówią o tym, kto tu teraz będzie przychodzić?

– Musimy się wykazać, jeszcze będą nam dziękować.

Kierownik sali wprowadzał pierwszych gości. O czwartej kilka stolików było zajętych. Arek pomyślał, że trzeba zaczynać. Siadł za konsolę i podgłośnił muzykę. Maks włączył pulsujące, kolorowe światła.

– Witam państwa serdecznie w Kaprysie i już zapraszam do tańca. Na początek Baccara *Yes Sir, I Can Boogie* – zapowiedział trochę drżącym głosem. Grał dla prawie pustej sali.

Muzyka zabrzmiała donośnie i czysto. Wszyscy skierowali wzrok na estradę. Wszyscy – czyli te dwadzieścia osób i kelnerki. Na wielu twarzach widać było zdziwienie. Jakoś nikt nie kwapił się do tańca.

Z czwartej łóżysta wstał jakiś starszawy facet pod krawatem i podszedł do estrady. Chwilę patrzył zdziwiony, po czym wypalił:

– Co wy tu sobie jaja robicie? Z płyt muzykę puszczacie? To już tak Kaprys na psy schodzi, cholera jasna.

Arek poczuł, jak krew uderza mu do twarzy. Bezradność. Złość. Nie mógł zaproponować – gość miał rację. To były tylko płyty. Nie byli orkiestrą. Nie byli tym, do czego Kaprys przyzwyczaił swoją publiczność.

Facet odwrócił się, podszedł do stolika, pogadał ze znajomymi i po chwili cała czwórka wyszła.

Arek zmieniał rytmy; raz szybkie, potem wolne, nowe i stare kawałki – nikt nie tańczył. Po dwudziestu minutach zapowiedział przerwę.

– Katastrofa – rzucił Maks.

– Mhm – mruknął Arek.

Ludzi w dalszym ciągu było niewielu. Może trzydzieści osób. Kolejny blok przyniósł tylko taką zmianę, że po dwóch piosenkach, po przejściu na szybsze rytmy, na parkiet wyskoczyło kilku podpitych wyrostków i zaczęli podrygiwać w dzikich wywijasach. To tylko jeszcze bardziej zniechęciło pozostałych do tańca.

Na przerwie przyszedł pan dyrektor Tomczyk.

– Jak wam idzie? – spytał.

– Tak sobie – odparł Arek. – Ludzi trochę mało.

– To normalne. Przy zmianie działalności publiczność musi się też zmienić, poczekajmy do karnawału – dorzucił.

Następny blok wypadł trochę lepiej; wreszcie kilka par wyszło do tańca. Nie była to jeszcze zabawa, jaką Arek znał ze swoich poprzednich imprez, ale zawsze coś.

Pod koniec fajfu na sali znajdowało się około czterdziestu osób, niewiele mniej niż kiedy odwiedzili to miejsce przed tygodniem.

– Mam zaprosić do koncertu z dedykacją? – szepnął do Maksa podczas ostatniego bloku.

– No pewnie, to jest tu normalne.

– Dobra, spróbujemy. – Spojrzał w stronę sali i wygłosił: – Szanowni państwo, dziękujemy, że byliście dzisiaj naszymi gośćmi, i zapraszamy na jutro. Jeżeli ktoś ma jeszcze życzenie zamówić utwór z dedykacją, to zapraszam.

Po chwili faktycznie podszedł jakiś facet.

– Masz tu sto i puść mi jakiegoś przyciskacza dla Heli z Mogilan od Kazka – wypaplał.

Arek zapowiedział i już Presley śpiewał *Crying in the Chapel*. Kilka par znowu wyszło na parkiet. Jeszcze nie wybrzmiały ostatnie takty, gdy jakaś dziewczyna podała im kolejną stówkę.

– Od Heluni dla Kazika na podziękowanie, coś szybkiego – powiedziała.

Donna Summer zaśpiewała w porywającym rytmie *I Feel Love*. Parę osób odtańczyło w kółku dzielnie do końca i rozeszło się po sali. Maks włączył pełne oświetlenie, kelnerki kasowały ostatnich gości.

– I to tyle na dzisiaj – rzucił Arek.

– Tak, mamy po sto na głowę – zaśmiał się Maks. – To nawet nie wychodzi po dolarze.

– Dobrze i to, jutro może będzie lepiej.

– Albo gorzej...

Sprzątnęli konsoletę, spakowali płyty i wyszli, kiwając kelnerkom na pożegnanie. W ich oczach nie widzieli współczucia. Raczej: „mówiliśmy wam”. Niestety miały rację.

Arek czuł zmęczenie i nie miał ochoty rozmyślać nad przebiegiem pierwszego dnia w Kaprysie. Zarobione sto złotych, pusty parkiet w pamięci i pytanie, które nie dawało spokoju: co będzie dalej? Chciał jak najszybciej być w domu, przy Joasi. Pewnie będzie pytać, jak było.



Nastał czas kompletnie wypełniony pracą. Najpierw huta, potem Kaprys, codziennie. Tylko niedziele do południa miał wolne. Joanna nic nie mówiła, ale zachowanie zdradzało, że jej taki tryb życia nie pasuje. Wcześniej razem szli do znajomych albo rodziców, teraz wszystko się skończyło. Arek pocieszał ją, jak mógł.

– Kochanie, wszystko się ułoży, zobaczysz. Jak już na całego się tam zakotwiczymy, wezmę zmiennika, może nawet olej

hute. Zobacz, Maks też ma żonę, nawet małe dziecko i ciągnie jak ją; najpierw instytut, potem Kaprys.

Przytulił ją czule i przekonywał bardziej siebie niż ją:

– Będzie dobrze, obiecuję.

Ale wcale nie było dobrze. Wręcz przeciwnie, ludzi przychodziło mało, coraz mniej. Wprawdzie ci, którzy przyszli, bawili się nieźle, ale obsługa ciągle narzekała. Nawet portier i szatniarka, nie wspominając już o kelnerkach i barmanie. Wszyscy im mieli za złe; to przez dyskotekę przychodzi mało gości, przez nich pójda z torbami.

Nie sprawdziła się natomiast przepowiednia Gośki w sprawie koni spod Peweksu – przychodzili grupkami po kilku i to dość regularnie, co parę dni. Jedli mało, pili dużo, kasy im nie brakowało. Nie mieli też nic przeciwko muzyce z płyt.

– Chodź tu – zawołał jeden do Arka, podchodząc do estrady. – Masz tu pięćset i graj mi pięć razy Presleya. Dla kumpli z 18 Stycznia. Słyszysz?

– Jasne, już puszczam.

Za chwilę inny zamówił Abbę, Smokie i Boney M.

– Dla paczki od Jarka – krzyknął.

– Dobra, dzięki.

To był ich cały szpan; pokazać, kto tu rządzi, kto ma forszę, kogo należy usłużnie obsługiwać. Pewni siebie, arogancy, nadziani szmałem. Ale płacili. I to się liczyło.

Nie zawsze jednak takie fuksy się zdarzały. Trafiały się dni, kiedy nie zarobili na bokach złamanej złotówki albo tylko po stówce na otarcie łez. Wcale nierzadko. Nie ma się co dziwić, kiedy mało gości, to i ochoty do zabawy brakuje – myślał Arek.

Jeden facet przychodził codziennie. Szedł jak do siebie; nie kupował biletu, siadał zawsze na tym samym miejscu na

końcu sali, nie tańczył, z nikim nie rozmawiał. Obserwował. Wszyscy go znali tylko z widzenia. Arek próbował się czegoś o nim dowiedzieć, ale obsługa tylko wzruszała ramionami. W końcu dał za wygraną.

Na przerwach czasem Maks siadał na kanapce w holu i obserwował wchodzących klientów. Widział, jak portier niechętnie wpuszcza gości, którzy mu się nie opłacili. Niektórzy odchodzili z kwitkiem. Potem kasjer, sprzedając bilety, lojalnie uprzedzał, że tu jest disco i jak się komuś nie podoba, to lepiej, żeby nie wchodził. Część z nich rzeczywiście odpuszczała.

– Arek, wiesz, patrzyłem, co oni tam na bramce robią i wcale się nie dziwię, że mamy mało ludzi. Ten Pinokio nie wpuszcza połowy klientów. A ten drugi w kasie też się stara jak może, żeby ich nie było zbyt dużo. Nawet słyszałem, jak mówił gościom, że już im się nie opłaca wchodzić, bo za godzinę kończymy.

– Oni chcą nas wykończyć. Pogadam o tym z Tomczykiem – powiedział w zamyśleniu Arek.

Kilka dni później okazja się trafiła; dyrektor razem z panią Ludmiłą usiedli w trzeciej łoży, popijali drinki i obserwowali, jak się klienci bawią. Na przerwie przywołali chłopaków do siebie.

– Siadajcie, czego się napijecie? – zagadnął pan Tomczyk.

– O dziękujemy, może Coli – odparł Maks.

Skinął na kelnerkę i zadysponował.

– Gości nie ma zbyt wielu, ale bawią się dobrze – rzuciła pani Ludmiła.

– Mnie to nie dziwi, że jest mało ludzi – powiedział dyrektor. – Teraz przed świętami stoją za szynką i karpiem, wszyscy zabiegani, raczej mało kto myśli o zabawie. Wszystko się okaże po Nowym Roku, w karnawale.

– Gości byłoby dużo więcej, ale na bramce ich skutecznie blokują – wypalił Arek i zdał sobie sprawę, że właśnie zrobił sobie nowych wrogów.

– Ja wiem, że nie wpuszczają wszystkich. – Zamyślił się i po chwili dodał: – Tam mają dobre oko i wiedzą, z kim będą kłopoty. Ale dobrze, porozmawiam z nimi o tym.

– Panie dyrektorze, my odnosimy wrażenie, że tu wszyscy chcieliby się nas pozbyć. Żeby wróciła orkiestra – dodał Maks.

Pan Tomczyk pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Musicie się wykazać. Wymyślcie, co zrobić, by ściągnąć więcej gości. My ze swojej strony zamówiliśmy plakaty reklamowe, niedługo będą gotowe.

Już chcieli wstać do następnego bloku, ale ich zatrzymał.

– Mam jeszcze jedną sprawę do was. Jak podchodzi klient i łapie się za portfel na dupie, to weźcie go trochę na bok. Nie muszą wszyscy widzieć, że wam płaci. Zgoda?

– Tak jest – odparł ze śmiechem Arek i wrócili na estradę.

Wieczorem, po skończonej imprezie, usiedli przy ulubionym stoliku za oknem, przez które można obserwować całą salę.

– Wiesz, on ma rację, sama muzyka nie wystarczy, musimy coś jeszcze zrobić – zaczął Arek. – Coś, co da nam przewagę nad knajpową orkiestrą. Coś nowego, czego tu do tej pory nie było.

– Też tak myślę. Przydałaby się kula lustrzana, tak jak w każdej dyskotecie na Zachodzie.

– To dobry pomysł – zapalił się Arek. – Mój znajomy wybiera się do Berlina po płyty, to pogadam z nim, żeby nam kupił. Ale do kuli potrzebne są reflektory punktowe, a takie są diablo drogie i oczywiście w kraju niedostępne.

– Ja mogę zrobić w instytucie. Cztery chyba wystarczą?

– Jasne. Myślisz, że dasz radę?

– Pewnie, mam tam specjalistów mechaników, co wszystko potrafią. Na fuchę za drobną opłatą – zapewnił Maks. – Przy moim sprzęcie też mi pomagali.

– Super. Przydałyby się też lampy ultrafioletowe, dają niesamowity efekt. W sklepie ich nie kupisz, masz jakieś dojście?

– A wiesz, że chyba się znajdzie. Jeden mój krewny jest elektrykiem w szpitalu, tam takich używają do sterylizacji. Muszę z nim pogadać, to mi załatwi. Za flaszkę, no góra dwie.

– Dobra, to działamy. Będę się zastanawiać, co by tu jeszcze można zrobić. A teraz już lecę, cześć – rzucił Arek.

– Ja jeszcze sprawdzę światła i też idę. Rodzina czeka. Do jutra.

Rozstali się pełni optymizmu.

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie	7
CZĘŚĆ PIERWSZA	9
1977 Pięćdziesiąt dolarów co miesiąc	10
1977 Wy tu sobie jaja robicie?	24

Poznaj inne nasze książki:
Intymne życie Moniki P. – Dawid Przybysz



Mam na imię Monika i opowiem Wam swoją historię – bez upiększeń i bez cenzury.

Po trzydziestce zorientowałam się, że moje życie wygląda lepiej z zewnątrz niż od środka.

Pracę mam dobrą, ale szef lubi sypać obleśnymi tekstami. Mój specyficzny mąż przejawia dość dziwny fetysz, o którym przeczytacie później. Jedyne, czego możecie mi pozazdrościć, to przyjaciółki – oddane, zabawne i szczerze.

Gwarantuję śmiech, łzy i seks. Taki, co daje bliskość – i taki, po którym zostaje tylko konsternacja.

To książka o kobietach ratujących się nawzajem, kiedy reszta świata zawodzi.

I na koniec mała prośba: nie dawajcie tej książki do przeczytania swoim facetom – niech lepiej nie wiedzą, co tak naprawdę o nich myślimy...

Książkowisko próżności – Zbigniew Górniak



Mówią, że w miłości i na wojnie wszystkie chwytty dozwolone. Na potrzeby naszych czasów tę frazę zamieniłbym na: zbieraj lajki i monetyzuj, co się da.

Umiesz pisać, ale Twoje nazwisko nie robi już wrażenia w branży? Zostań autorem widmo gostka, który co prawda ledwo posługuje się językiem polskim, ale za to ma zasięgi.

Tak, to ja, ghostwriter, dojrzały pisarz z przeszłością, ale bez przyszłości. Mam siłę w lędźwiach, a w portfelu noszę Viagrę. Jeszcze marzy mi się gwiazdka z nieba, ale nie stać mnie nawet na mieszkanie na Mazurach, które oddała się ode mnie z prędkością kajaką.

Jestem dorosłym mężczyzną po przejściach, niegdyś szanowany dziennikarzem, ale z ledwością odnajduję się w branży zdominowanej przez próżne i zazdrosne beztalencia. Sztuczna inteligencja, w przypadku niektórych jedyna, jaką się posługują, rządzi i rozdaje profity.

Tak, to ja. Everyman. Mogę być każdym i nikim.

Teraz będę Twoim bohaterem.

Berlin. Obce, swoje, niczyje – Agnieszka Oknińska

*Emigracja i poszukiwanie
własnego miejsca*

*Nowy początek
i druga szansa*



*Upředzenia
i różnice kulturowe*

*Kobieca przyjaźń
i solidarność*

*Miłość, nadzieja,
odnajdywanie domu*

Trzy kobiety, Berlin i przyjaźń, która przenosi góry.

W sercu współczesnego Berlina, miasta zbudowanego na podziałach i pojednaniu, splatają się losy kobiet, które przybyły tu z różnych stron świata, niosąc własne historie, lęki i marzenia. Anna z Polski, Melek z Turcji i Nasira z Syrii – tak różne, a jednak połączone czymś głębszym niż pochodzenie czy język.

Ich przyjaźń rodzi się w codzienności emigracyjnego życia, w tęsknocie za domem i w potrzebie bycia zrozumianą. Wspólnie uczą się odnajdywać siebie na nowo, mierząc się z uprzedzeniami, własnymi wyborami i uczuciami, które potrafią zarówno uskrzydlać, jak i komplikować wszystko wokół.

To opowieść o kobiecej sile, solidarności i odwadze zaczynania od nowa – niezależnie od miejsca. Bo choć historia prowadzi także do Częstochowy, to właśnie Berlin, ze swoimi różowymi alejami kwitnących wiśni, staje się symbolem nadziei, przemiany i drugiej szansy. To poruszająca historia o tym, że nawet w najbardziej obcym mieście można znaleźć coś, co przypomina dom – drugiego człowieka.

Zajrzyj do naszego sklepu:
www.ostre-pioro.pl